

Wojenne wspomnienia Rodziny Buczaków

Julia Kołodziej z domu Buczak

Nienadówka, 11 grudnia 2008 r.

Wojenne wspomnienia Rodziny Buczaków

Rok 1944 był dla naszej Rodziny bardzo tragiczny. Mimo, że minęło już 64 lata od tych wydarzeń postanowiłam je pokrótce zanotować, ponieważ to pokolenie już odchodzi, żeby następni wiedzieli co przeżywali ich poprzednicy.

Rodzina nasza była liczna, 10 osób: 6 braci i 4 siostry. Ja jestem jedną z nich i jedyną jeszcze żyjącą. Z braci też żyje jeszcze tylko jeden, najmłodszy Michał Buczak. Ja, Julia z Buczaków po mężu Kołodziej, mam już 78 lat. Dzięki Bogu jak do tej pory czuję się w miarę dobrze i pamiętam te ciężkie rodzinne przeżycia, do których myślą często wracam.



21 marca 1944 r. Nienadówka. Ś.p. Wojciech Buczak.
Od lewej: Antoni, Stanisław, Józef, Jan, Agnieszka, Władysław,
Michał, żona Katarzyna, Zofia

Najpierw w 1944 roku, dokładnie 21 marca, zmarł nam Ojciec, miał 59 lat. Zabolał go środkowy palec u ręki, zaczął ropieć, lekarz przeciął, ale nic się nie goiło tylko bolało. Pojechał do szpitala, palec odjęli, na ręce dalej występowały ropne guzy. Było zakażenie i nastąpiła śmierć. Wiadomo też jakie w czasie wojny było leczenie w szpitalach. Tato był zdrowym, zdolnym i pracowitym człowiekiem.

Potrafił prawie wszystko zrobić, znał stolarkę, ślusarkę i kowalstwem się trudnił. Kuźnia była w podwórzu. Tato sam wyprawiał skóry i sam robił nam buty, miał do tego wszystkie przyrządy. Bijął też świnię u gospodarzy i potrafił wszystko zrobić. Pamiętam jak przyniósł za pracę dobrą kiełbaskę tośmy się cieszyły, zwłaszcza wtedy jak w domu nie było. Tato miał też kilka pni pszczół, to i miodek był do zjedzenia z chlebem. Mama piekła chleb. Do mielenia zboża był młyn wiatrak, ale za okupacji niemieckiej nie wolno było mieć (stał jako nieczynny). Czasem, jak był dobry wiatr, to w nocy mielili. Drugi młynek do mielenia zboża Tata zrobił do kieratu, co konie ciągły przy dyszlu wkoło i mielilo się. Musiał go ukryć w stodole. Zrobił nad nim powałę, a na wierzchu była słoma, bo Niemcy chodzili po gospodarstwach i jak znaleźli była za to kara pieniężna. Niedługo później nastaly motory to już było lepiej. Ja nie pamiętam żeby nam brakowało chleba i żebyśmy nie miały co jeść, a to dzięki zaradności Rodziców. W tych latach niestety tak było w niektórych rodzinach, że chleba brakowało i nie było dnia, żeby żebracy nie chodzili po domach. Mama miała liczną rodzinę, ale żebrzącemu nigdy nie odmówiła datku. Mama umiała też

szyc na maszynie, sama nam szyła i jak mogła tak nas ubierała. Ze śmiercią Taty wszystko się zmieniło, cały ciężar spadł na Mamę. Była dzielną kobietą, bardzo pracowitą i z pomocą Bożą jakoś sobie radziła.



1936 r. Oświęcim, Jan Buczak



1943 r. Nienadówka, od lewej: NN, Jan Buczak, Józef Buczak

Starsi z rodzeństwa zaczęli się rozchodzić z domu. Janek brat ożenił się i zamieszkał w Rzeszowie. Wcześniej byli w Oświęcimiu, ale gdy nastał czas wojenny musieli stamtąd odjechać. Agnieszka, najstarsza siostra, w 1939 roku co tylko przed wojną, wyjechała do pracy do Francji.

Bracia również byli pracowici i zdolni jak Ojciec, też różne usługi ludziom wyprawiali. Bracia Jan, Józef i Antek należeli do Armii Krajowej. Nie będę opisywać przebiegu ich działalności i straszliwych przeżyć, bo oni w swoich wspomnieniach to opisali. Ja zamierzam zanotować to co działo się w naszym rodzinnym domu i to co pamiętam. Mimo upływu tylu lat nie da się tego zapomnieć.



1944 r. Anna, Jan, Bogumiła „Bożenka” Buczak

Był to dzień 23 listopada 1944 r. Brat Jan sprowadził się do nas do wsi, z żoną i dzieckiem, ponieważ zbliżał się front i wydawało się w mieście bardziej niebezpiecznie. Namawiała go do tego Mamusia, bo był drugi dom, w którym jakiś czas można było zamieszkać. Żona Jana była nauczycielką, uczyła dzieci w szkole w Trzebusce. Ja często pilnowałam ich córeczkę.

Jan młócił zboże po gospodarzach. W tym dniu nastawały jakieś niepokojące we wsi objawy, najechało dużo ruskiego wojska. Gdy Jan wrócił od młocki do domu, żona mówiła żeby pójść nocować do jej rodziców, niedaleko mieszkających we wsi. Ale on nie chciał pójść. Żona z dzieckiem poszła, on został sam. Około godziny 20-21, tak wspominała jeszcze żyjąc mamusia nasza (zmarła w 1969 r.), wszyscy już spaliśmy. Obudził ją straszny huk, krzyk, dobijanie się do drzwi domu. Mama mówiła, że słyszała też strzały, wtedy być może wymierzone w brata Jana, który próbował zbiec przez okno do sąsiada. Drzwi wyważyli, wpadli do środka, to już wtedy wszyscy żeśmy się wybudzili. Pamiętam, jak zobaczyłam pełno w mieszkaniu wojska z karabinami w rękę. Zaczęłam krzyczeć ze strachu, a wraz ze mną młodszych dwóch braci, z którymi spałam (ja wtedy miałam 14 lat, Władek 9, Michał 5 lat). Przypadła wtedy do nas do łóżka banda z bronią tych z NKWD i pamiętam słowa „*cichaj ty bo cię zastrelim*”. Wtedy z rodzeństwa spało nas w domu 5 osób: nas troje dzieci, siostra Zofia (miała wówczas 23 lata) i brat Józef. Brat siedział skuty na kanapie, co chwilę dopadali do niego, poniewierali i słychać było słowa „*kuda jest broń i Brat Antoni*”. Mieli podane (oczywiście przez naszych ludzi), że tu jest magazyn broni i zaczęła się w ten czas straszliwa rewizja w domu. Był niesamowity trzaskot, wrywali deski z podłóg, z każdej szafy czy szuflady wszystko było wywalone. Przyszli i do nas do łóżka. Mamę i Zofię odepchnęli, bo nas tuliły, bośmy się trzęsły ze strachu. Mama później mówiła, że myślała że już będą nas zabierać i wywozić na Sybir, bo o tym powtarzali. Nie chciała ich dopuścić do nas. Przystawił karabin do Mamy, my narobiły krzyku. Drugi przyszedł, zrzucił nas na podłogę, siostrę odepchnął i szukał w łóżku broni. Były to łóżka roboty Taty, wysuwane, szerokie, na nich sienniki wypchane słomą. Nie mógł się dostać do środka, przerznął nożem i wydzierał tę słomę. Potem w następnym łóżku, poduszki i pierzyny też były podziurawione. Mama chowała gęsi, to pierzyn i poduszek nie brakowało. Obok było takie duże pomieszczenie ze zbożem, nazywały my to komora. Nie tylko żyto, pszenica, owies, jęczmień, ale było jeszcze proso, siemię lniane, kukurydza, gryka. Z prosa i gryki robiło się kaszę. U nas był młynek do obróbki kaszy. Z okolic ludzie przyjeżdżali obrabiać. Było też nasienie konopi, z nich były silne powrozy, zwłaszcza do pociągu dla koni tzw. postronki. Wszystkie te ziarna wysypane były na jedną kopę, na podłogę. Niedużo w pakach czy beczułkach zostało, tak że nie nadawało się to zboże na chleb, ani na siew, ale ludzie nam wymienili. Trochę też ziarna poszło pod podłogę, bo deski były powyrywane. Obrazy ze ścian pozdzierali, niektóre szkła zbiły się, bo rzucali wszystko na podłogę.

Pamiętam taki szczegół, jak jeden bandzior znalazł różaniec. Wziął go do ręki, przyglądał mu się przez chwilę, porwał go w kawałki i rzucił nim na podłogę. Zofia ukradkiem pozbierała, bo tak deptali po tym wszystkim. A tych oprawców było mnóstwo, to dali radę wszystko zrobić. Mama przychodziła do nas i mówiła: „*dzieci mówcie pacierz żeby nas Pan Bóg ratował*”. Ale broda się



Zofia Buczak

trzęsła ze strachu, trudno było się modlić. Zofia nam pomagała i modliłyśmy się po kawałku. Prosiłyśmy bardzo aby napić się wody, ale wtedy nie odkręcił kranu i nie spuścił wody, bo nie było. Trzeba było iść do studni po wodę. Mama chciała iść, ale jej nie pozwolili. Długo musiałyśmy czekać żeby się napić. Te małe chłopaki po kawałku zasypiały, ale budziły się i płakały za piciem razem ze mną. Ja nic nie spałam. Wszedł do mieszkania jakiś starszy bandzior i Mama go prosiła, że dzieci płaczą, chcą się napić wody i chciała pójść do studni żeby im przynieść. Chyba ją zrozumiał, bo przyszedł do nas, szyderczo się uśmiechnął, coś tam pogaworzył i wysłał dwóch na obstawę i kazał Mamie iść. To było już niedaleko rana, ale była jeszcze ciemna noc. Studnia była prosto w okno tego domu gdzie mieszkał brat Jan. Usłyszała jęki, okno było zasłonięte to nic nie widziała, tylko wielkie blaski co palili. Brat miał taką małą kuchenkę i gościli się. Przyszła z tą wodą i tak rozpaczliwie mówi: „*nie wiem co się tam dzieje, słysząc jęki i jakieś blaski światła*”. Zrozumieli chyba, że coś nam opowiada, znów potargali nią i o Sybirze była mowa, tak z niektórych słów można się było domyśleć. Józef w tych kajdanach biedak, cały czas miał wartę wkoło siebie i nic nie wolno mu było do nikogo z domowników mówić. Ani nam do niego. Ciężkie to były chwile do przeżycia, ale to był dopiero początek.

Ta noc była strasznie długa. Gdy zaczęło się rozwidniać, Mama chciała wyjść na pole, bo ciekawa była co tam się dzieje z Janem. Nie pozwolili. Któryś z małych mówił, że jest głodny. Mama chciała mu dać chleba i dopiero wtedy się zorientowała, że chleba nie ma, a wcześniej było kilka bochenków. Świnia była zabita może kilka dni temu, jajek też było dosyć dużo. Gościli się całą noc przy tym rannym człowieku, a co nie dali rady zjeść, to zabrali. Zostały resztki i spalone rondle. Mama na zimę suszyła sery, nie tak jak teraz się smaży, tylko były suszone w klatce na strychu. Z patyczków była specjalnie do tego przeznaczona klatka, wisiała u samej góry, a gdy latem słońce grzeje, to tam jest bardzo wysoka temperatura i te serki ładnie przysychały. Były żółte jak wosk pszczeli. Mama mieszała biały ser odcisnięty z masłem. Dosyć było tego masła i z jajkami dobrze wyrobiła, soli do smaku. Jak ser uformował się w woreczku pod praską, to go dawała do klatki i tam sechł do odpowiedniego czasu. Pamiętam ten smak bardzo był dobry i żadnej pleśni nie było. Było kilka tych serów, wszystko zrabowali.

Zaczęło się na dobrze rozwidniać. Mama z siostrą Zofią biadola i płaczą, gdzie ten Antek, gdzie ten Staszek i co się z nimi dzieje. Ja wtedy wstałam z łóżka, patrzę w okno, idzie ktoś od pola od stodoły. Antek, ale nie sam. Prowadzą go, weszli do mieszkania, zaraz go skuli. Siedzieli obaj z Józkiem, trochę oddaleni od siebie, bo między nimi siedział wartownik. Siedzieli tak pod południe, bo dopiero koło południa pojechali z nimi.

Gdy już wszystko przewrócili w domu i w budynkach gospodarczych, wzięli się za stodołę. Antek miał pod słomą na dole taką kryjówkę. Kiedy były łapanki na przymusowe roboty do Niemiec, to miał się gdzie ukryć. I wtedy, wieczorem też wyczuł, że na coś się zanoszą. Poszedł tam spać, a gdy rano zorientował się, że u sąsiada wywalają słomę ze stodoły na pole, pomyślał że i tu to nastąpi (z trzech stodół wywalili). Postanowił wyjść i próbował uciec. Na szczęście przewrócił się, bo zaczęli strzelać i byli by go zabili, gdyby dalej uciekał. Słomę powywalali prawie do spodu i byli bardzo wściekli, że nic nie znaleźli. Gdy rano pozwolono Mamie pójść do obory nakarmić krowy i gdy weszła z sianem do konia usłyszała wołanie brata Staszka „*Mamo jestem na powale, żyję*”. Powiedziała mu „*nie wyłaż, aż ci powiem*”. Jeszcze kilka godzin musiał tam przebywać. Dwa razy dosięgli go widłami w nogi i w bok (miał ślady) jak tam przewracali. Tam była wysoka warstwa plew po omłotach. Miał szczęście, że mu Pan Bóg dał tyle siły, że wytrzymał i nie wyszedł, bo by go na pewno zabrali, miał 17 lat. Siostra Aniela w tym roku była na służbie w Sokołowie u księży na plebani, to miała szczęście uniknąć tych rodzinnych tragedii.

Doczekała się Mamusia chwili, że ją wpuszczą do brata Janka. Przytomny był, ale bardzo cierpiał. Miał ranę straszną w prawym boku brzucha. Kałuża krwi pod nim była. Gdy wieczór go postrzelili przyciągnęli go do domu i tak się męczył całą noc. Żadnej pomocy mu nie udzielili. Mama przyszła po Zofię żeby jej pomogła obmyć i obandażować tę ranę, według możliwości, jakie w ten czas były. Ale ona strasznie płakała. Przyszły niedługo i Mama się pyta mnie, że „*może byś mi trochę pomogła*”. I zgodziłam się pójść. Zofia została z dziećmi. Miałam nagadane żeby nie płakała, bo to rannemu szkodzi, tylko mam robić co mi każe. Zabrała ze sobą trochę szmat, były to czyste stare poszwy i nożyczki. Niemożliwym było nie płakać, ale w takim wieku, jak ja byłam, to jeszcze trochę lekkomyślnie to wszystko sobie przedstawiłam. Pamiętam jak patrzył na nas i mówił „*nie płaczcie, wszyscy musimy umrzeć, ja oddaję swoje życie w obronie Ojczyzny*”. I powiedział, że chciałby księdza z Panem Bogiem. Wydawało się to niemożliwe. Gdy Mamusia zwróciła się w tej sprawie do starszego z tej bandy, pozwolił. Trochę umiał po polsku mówić i zaczął opowiadać, że zabiorą rannego do szpitala i tam go wyleczą i będzie żył. Większość tych z NKWD odjechała już kilkoma samochodami, ale jeszcze ich trochę pozostało. Mamusia poprosiła dalszego sąsiada żeby pojechał po księdza Antoniego Ożoga. Przywiózł furmanką księdza. Ranny się wypowiedział, przyjął Najświętszy Sakrament, Ostatnie Namaszczenie. Cały czas dwóch na warcie stało dokąd go nie zabrali. Jan gdy usłyszał, że chcą go zabrać do szpitala mówił, że nie chce jechać, woli tu umrzeć, bo cierpiał bardzo. Ale nie nasze w tym rządy były.

Najpierw odjechał taki duży ciężarowy samochód co stał przed tym domem. Na nim było wszystko co zrabowali. Ja ukradkiem wskoczyłam na koła zobaczyć co tam jest. Cała paka była różnych rzeczy. I powiedziałam Mamusi, że tam były wszystkie rzeczy co miał Tata i bracia. Następnie przyjechał samochód z budą po rannego Jana. On tak biedak nie chciał jechać, bo czuł, że nie będzie żył. I Mamusia prosiła żeby go nie zabierali, ale to nic nie pomogło. Powiedział nam jeszcze żeby kuzyn Józef Ożóg zrobił dla niego trumnę i „do widzenia w niebie”. Zabrali go na nosze, wśród jęków, wstawili do samochodu z budą, dwóch strażników obok i odjechali. W tym mniej więcej czasie zabrali też skutych Józka i Antka. Była to już pora południowa. Bliscy sąsiedzi gdy wyczuli, że już wszyscy odjechali, zmówili się i przyszli nam z pomocą. Oczywiście starsi, bo młodzi się bali, a do wniesienia słomy do trzech stodół trzeba było trochę rąk. Pozostał nam tylko płacz i przerażenie.



Jan Buczak

Następnego dnia wujek Wojciech Maziarz z Mamusią pojechali do Rzeszowa do szpitala i dowiedzieli się że Jan Buczak zmarł w nocy i ciało można wybrać. Zaraz zgłosili do księdza pogrzeb. Mamusia poszła do Józefa Ożoga w sprawie trumny (by spełnić życzenie zmarłego). On kontynuował młockę po zmarłym Janie w dolnej Nienadówce. Mama wysłała mnie, żeby prędko iść powiedzieć mu, żeby wracał do domu robić trumnę, bo miał do tego zdolności. Zaraz zatrzymał motor, ktoś inny dokończył młockę i rowerem wyminął mnie i wziął się do roboty. U nas deski były, całą noc mu zeszło robić. Następnego dnia rano, Wojciech Maziarz i Antoni Ożóg, pojechali końmi po ciało zmarłego Jana. Ubrali go w ubranie, które wzięli z domu, włożyli do trumny (bez problemów wydali ciało zmarłego). Wrócili już późnym popołudniem. Ciało z trumną wnieśli do domu, w którym mieszkał. Pamiętam, że nas rodzeństwa nie wpuścili zaraz do niego, aż wszystko uporządkowali. Niedługo później przyszła żona zmarłego od swojej matki i kilkanaście starszych ludzi i odmawiałyśmy różaniec za zmarłego. Gdy ludzie się porozchodzili, przykryli trumnę, światła pogasili. Mamusia zamknęła dom, wzięła klucz ze sobą i następnego dnia miał się odbyć pogrzeb.

Rano jak zwykle bywało, Mamusia wstała najpierwsza żeby inwentarz obsłużyć, bo miał się odbyć pogrzeb. Nawet zaraz nie zauważyła, bo było jeszcze ciemno, ale gdy zaczęło się rozjaśniać zauważyła coś pod oknem tego domu, w którym leżał nieboszczyk. Podeszła blisko, leży okno wydarte z ramami, a trumny w domu nie ma. Przyszła z lamentem nas wybudzić.

Wzięła klucz, bo drzwi były zamknięte. Weszły my do środka, świece poprzewracane, stołki na których stała trumna i nic nie ma.



1944 r. Bogumiła „Bożenka” Buczak

Straszne to było barbarzyństwo, tak się zemścić na niewinnym człowieku jeszcze po śmierci, dodatkowy cios dla rodziny. Za chwilę przychodzi bratowa żałobnie ubrana. Ludzie zaczynają się schodzić na pogrzeb, a tu nie ma kogo grzebać. A ci barbarzyńcy w czasie tak strasznego czynu nie obudzili nas.

Pamiętam dobrze, jak w moim rodzinnym domu panował nadal strach, smutek i niepewność jutra. Zaraz jeszcze w 1944 roku przekazano nam wiadomość, że byli we wsi u sołtysa jacyś panowie i rozkazali żeby wyznaczył zabranie nam wszystkich krów, bo nasza rodzina miała być wywieziona na Sybir. Niedługo trzeba było czekać, zabrali 2 krowy na raz, została tylko jedna i cieliczka. Bardzo byłyśmy wystraszone tym Sybirem. Mama z Zofią załadowała na wóz trochę odzieży, pierzyny, poduszki i koniem zawiozła nas do swojej siostry do Prucnali i tam nocowałyśmy kilka tygodni. Spałyśmy na słomie, na podłodze, bo ich było 6 osób to dla nas łóżek już nie było. Czuliśmy się tam bezpieczniej niż w swoim domu. Kazali nam tam być dłużej, ale Mama chciała wracać do swojego domu, to i my wszyscy z nią. W domu nadal nie było spokoju. Teraz już nie NKWD, tylko UB z Kolbuszowej. Pamiętam, Łukowicz się nazywał ten, który co jakiś czas przyjeżdżał do nas na śledztwo. Czasem w dzień, czasem wieczór dobijał się do drzwi jak bandyta. Jego wygląd dla mnie był straszny. Raz przyszedł do nas w dzień. Dom nie był zamknięty, bo bracia Władek i Michał siedzieli w domu, a my z Mamą byłyśmy w stodole. Nagle usłyszałyśmy krzyk dzieci. Mama popędziła do domu, a ten bandyta był w domu, trzymał Władka za ręce i bił go po twarzy, bo mu nic nie chciał powiedzieć. Chłopak miał 9 lat i ten bandzior chciał wyciągnąć z niego, czy widział jak przywieźli broń i gdzie ją składali. Potem w nocy się zrywał, taki był wystraszony. Mamusia wypędzała go z krzykiem, z domu od dzieci. Mówiła, że już nie mogła znieść tego wszystkiego i obojętnym jej było, co z nią zrobi. Miał przy sobie broń, odgrażał się i odszedł.

Nastał rok 1945. W naszej rodzinie ciągle panował strach, smutek i płacz po braciach Józefie i Antonim. Nie wiedzieliśmy co się z nimi dzieje. Dopiero w lutym jakiś więzień, który spotkał się z Antkiem, wyszedł na wolność i ten nas powiadomił gdzie Antek przebywa. O Józefie nic nie wiedzieliśmy do czasu, gdy dzięki Bogu szczęśliwie wrócił do domu.

Było to pod koniec września lub na początku października, dokładnie nie pamiętam. Radość nastąpiła w rodzinie ogromna, gdy prawie po roku czasu, obydwaj bracia Józef i Antek wrócili szczęśliwie do domu. A to dzięki

Opatrzności Bożej. Antek wrócił 2 tygodnie wcześniej, bo przebywał w Rzeszowie, a Józek z głębi Rosji miał podróż długą.

Z tego co opowiadali, to w jednym dniu zostali zwolnieni. Mamusia nasza bardzo się cieszyła. Mówiła, że nasze modlitwy nie były daremne. Nieraz dalsza rodzina przychodziła, aby nas pocieszyć i modliłyśmy się wspólnie, ale bywało że więcej było płaczu jak modlitwy. Straszne przeżycia Bracia opowiadali, ale ja już o tym nie będę pisać, oni w swoich wspomnieniach to opisali.

Wspomnę jeszcze tylko co pamiętam, że w dniu w którym miał się odbyć pogrzeb brata Jana, pod tym oknem, co wydarli i zabrali ciało z trumną, leżały na ziemi szelki od spodni. On tak nosił spodnie i tak go ubrali. Z tego można sądzić, że być może zdarli z niego ubranie. Miejsce jego pochówku jest nieznane do dziś. Wierzmy, że na sąd ostateczny zmartwychwstanie.

Pomyślałam, że dosyć będzie tego mojego opisu. Nic nie zmyślałam, tylko tak jak było napisałam i co dzięki Bogu jeszcze pamiętam. Obawiam się trochę czy komu się zechce tyle czytać? I bardzo przepraszam za błędy i moje nieudolne pisanie.

Julia Kołodziej
Nienadówka

11 grudnia 2008 r.



2000 r. Julia Kołodziej (z domu Buczak)



1962 r. Nienadówka. Stoją: druga od lewej Aniela, Józef Buczak, Julia i Julian Kołodziej, Antoni Buczak. Na dole od prawej: Michał i Stanisław Buczak



Agnieszka i Władysław Buczak



Rodzeństwo Buczaków, od lewej: Stanisław, Władysław, Julia, Antoni, Michał



Cmentarz Rzeszów-Wilkowyja, tablica na grobie Józefa Buczaka